

Łukasz Jasina: Król Staś nie stał się ważną postacią w polskim imaginarium

W pewnym momencie pojawiła się nawet potrzeba wykreowania jakiegoś „dobrego Poniatowskiego”, który przykryłby pamięć o „złym królu”. Stąd wziął się kult księcia Józefa, zwanego „Pepi” – mówi Łukasz Jasina w rozmowie z Michałem Strachowskim w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bacciarelli. Rzeczypospolitej malowanie”.

Michał Strachowski: Gdy byłem studentem funkcjonowało takie powiedzenie, że historycy sztuki to jedyni historycy, którzy doceniają Stanisława Augusta. Czy nadal jest ono aktualne?

Łukasz Jasina: Historycy sztuki często dostrzegają to, czego zwykli historycy nie są w stanie zobaczyć, a przynajmniej nie od razu. [Śmiech] Mówiąc poważnie, wiele rzeczy się zmieniło w ocenie epoki stanisławowskiej. Z różnych powodów, między innymi rosyjskich koneksji, król Staś nie stał się ważną postacią w polskim *imaginarium*, ale poświęca się mu dużo uwagi. Śmiało można powiedzieć, że dziś, inaczej niż jeszcze kilka dekad temu, nie tylko dyskutuje się o jego panowaniu, ale także je docenia. Na szczęście nie ukrywamy już Stanisława Augusta i to nie tylko w badaniach naukowych, ale i kulturze popularnej.

Przeczytaj również: Czułem uniesienie na widok Rubensa czy van Dycka, a mentor mój był tak rad, że wciąż biegam za obrazami

Kiedy się zaczęło owo „ukrywanie” ostatniego władcy Rzeczypospolitej?

Właściwie od początku doby rozbiorowej, ale najbardziej nie chciano pamiętać o nim w międzywojniu.

Trudno się temu dziwić – celebrowano raczej odrodzenie państwa niż pamięć o jego zmierzchu.

Otóż to! Nawet pogrzeb Stanisława Augusta w Wołczynie miał charakter konspiracyjny. W pewnym momencie pojawiła się nawet potrzeba wykreowania jakiegoś „dobrego Poniatowskiego”, który przykryłby pamięć o „złym królu”. Stąd wziął się kult księcia Józefa Poniatowskiego, zwanego „Pepi”.

A jednak Stanisław August, mimo „filmowej biografii”, nie zaistniał w kinie...

Nie zaistniało także wiele innych ważnych dla polskiej historii postaci.

Był *Kos* Pawła Maślony.

Ale też nie był to film biograficzny o Kościuszcze.

Może nie potrafimy robić filmów o prawdziwych ludziach? Może za bardzo rozsmakowaliśmy się w postaciach symbolicznych?

Czy ja wiem... Trudno o prostą odpowiedź, dlaczego nie powstał jakikolwiek, niekoniecznie wybitny, film o ostatnich dekadach istnienia I Rzeczypospolitej, o Konstytucji 3 maja czy o Insurekcji Kościuszkowskiej. Być może to zwyczajnie kwestia braku zainteresowania epoką. Lepiej było w tym względzie w teatrze. Jeszcze w głębokim PRL-u, w 1976 roku powstał głośny spektakl *3 maja* w reżyserii Grzegorza Królikiewicza, gdzie Stanisława Augusta Poniatowskiego zagrał Wieńczysław Gliński. Zaś w wolnej Polsce, w 1990 roku, w Teatrze Telewizji, można było zobaczyć *Poloneza* Jerzego Szwiertni, gdzie carycę Katarzynę II grała Budzisz-Krzyżanowska, a króla – Jan Nowicki. Cztery lata później, w warszawskim Teatrze Polskim, wystawiono *Popołudnie kochanków* w reżyserii Jana Bratkowskiego na podstawie tekstu Józefa Hena, z niezapomnianymi kreacjami Niny Andrycz jako imperatorowej i Ignacego Gogolewskiego jako króla. No i *last but not least* spektakl *Król i caryca*, gdzie reżyserem i odtwórcą tytułowej roli męskiej był Jerzy Zelnik, a scenarzystką i odtwórczynią tytułowej roli kobiecej – Halina Rowicka. Jeśli miałbym obstawiać przyczynę, dla której tak rzadko pojawia się koniec wieku XVIII w polskim kinie byłyby to wybiórczy stosunek do historii – jedne epoki „wałkuje się” bez końca, inne się pomija, a jeszcze inne przemilcza...

Z tego co pamiętam w realiach ostatnich dekad istnienia I Rzeczypospolitej rozgrywał się *Daas* Adriana Panka.

To był raczej film „galicyjski” i „żydowski” o pewnym zjawisku religijnym, czyli frankizmie, który najpierw zaczął interesować polskich badaczy, m.in. Władysława Panasa, a potem twórców, na czele z Olgą Tokarczuk. Ciekawy temat, bo zahaczający o kwestie potransformacyjnych przemian kulturowych, ale na osobną rozmowę. A tak gwoli uzupełnienia – chyba najlepszym filmem o tej epoce był *Diabeł* (1972) Andrzeja Żuławskiego - notabene „półkownik” w latach siedemdziesiątych.

Wracając do epoki stanisławowskiej, dziwi mnie, że polskie umiłowanie epoki powstańczej nie zaowocowało ani jednym filmem o Konfederacji Barskiej.

Gdyby władarze polskiej kultury byli ludźmi o szerszych horyzontach, to mielibyśmy taki film. Kto wie, może za obecnej doczekamy się porządnego serialu, na przykład o Kościuszcze, rozgrywającego się od momentu, gdy jako dwudziestolatek wstąpił do Szkoły Kadetów, po upadek Insurekcji, gdzie będzie się przewijać postać Stanisława Augusta. Jeśli miałbym być złośliwy, to powiedziałbym, że brak koniunktury na koniec wieku XVIII wynika z braku zapotrzebowania na „sprzymierzeńców Rosji”. Zobaczymy jednak skąd powieje wiatr historii.

No dobrze, można zmilczeć króla, można i epokę, ale trudno pominąć fakt, że pamięć o Rzeczypospolitej przetrwała dzięki dorobkowi Stanisława Augusta...

Racja – za jego rządów Rzeczpospolita utraciła niepodległość, ale w paradoksalnie godny sposób. Powstała w ostatnich trzech dekadach istnienia tego państwa kultura, na którą składały się nie tylko architektura, malarstwo czy literatura, ale także załączki służby cywilnej, ówczesna nauka, struktury wojskowe, ocaliły polskość. Zastanówmy się jak wyglądałby czas zaborów bez tego, z magnaterią bardziej zainteresowaną wkupywaniem się w łaski dworów Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów, obojętnymi wobec państwa chłopami i nielicznym mieszczaństwem. Polska zniknęłaby z mapy Europy tak czy inaczej, ale to dzięki Stanisławowi Augustowi mogła się odrodzić! Nawet jego przeciwnicy nie mogli mu tego odebrać. Zresztą funkcjonowało takie powiedzenie, że Poniatowski był świetnym ministrem kultury, a kiepską głową państwa.

Nie jestem pewien czy jest to najlepszy wzorzec dla kolejnych ministrów. [Śmiech] Ale mówiąc poważnie, Stanisław August pozostawił po sobie imponujący dorobek.

Prawda? Do tej pory żadna ważniejsza uroczystość państwowa nie może się obyć bez lunchu w Pałacu na Wodzie lub przemówienia w salach warszawskiego Zamku Królewskiego, który przecież został odbudowywany zasadniczo w kształcie, jakim nadał mu ostatni polski monarcha.

Dyskretnie się jednak o tym milczy...

Podobnie jak o tym, że Warszawę odbudował Bierut, a polskie wzornictwo kwitło za Gomułki. Polacy są mistrzami w omijaniu trudnych tematów i niewygodnych postaci.

Publikacje „Teologii Politycznej Co Tydzień” są możliwe dzięki hojności Darczyńców. Dziękujemy za każde wsparcie. Zbiórka na 2026 rok trwa.

Czyli jednak mamy problem z realnymi ludźmi.

Z niektórymi – tak. Na pewno omijamy trudne tematy, nie lubimy mówić o trudnych wyborach. Jeśli chodzi o „króla Stasia”, to chętnie wspominamy o obiadach czwartkowych i Konstytucji 3 maja, ale mniej mówimy o tym, że przystąpił do Konfederacji Targowickiej, o Sejmie w Grodnie i ostatnich latach życia w Sankt Petersburgu. Trochę jak Rzecki, który w Lalce chodzi po Warszawie i nie zauważa, że jest rosyjska i że stoi w niej np. pomnik Paskiewicza.

A nie uważasz, że to strategia obronna, pozwalająca przeżyć w trudnych czasach?

Dziś też musimy się tak bronić?

Chodziło mi raczej o ten przykład z *Lalki*. Życie pod carem, białym czy czerwonym, nie należało do najprzyjemniejszych.

Zgoda, ale wydaje mi się, że jest to coś więcej. Omijanie lub jak mówisz „zmilczanie” mogło być z początku sposobem na radzenie sobie w trudnych warunkach, ale potem przerodziło się w nawyk czy też nałóg. I jego ofiarą padł „król Staś”, o którym się „zapomina”, a jak już sobie „przypomnimy” to jako upudrowanego fircyka, który „brzydko się zestarzał”. Wolimy pamiętać o innych – stąd kult Kościuszki, zrodzony jeszcze w XVIII wieku i rozwijający się w XIX, a dziś nieco przygasły. Z tej samej przyczyny tak często wspominamy o Hugonie Kołłątaju i Ignacym Krasickim.

Nie jesteś przypadkiem nieco niesprawiedliwy? Czy ludzie zniewoleni nie mogą, nawet za cenę pewnej mitologizacji, pamiętać głównie pozytywnych bohaterów własnej historii?

Czy muszą to jednak robić za wszelką cenę?

Jak w PRL-u radzono sobie ze Stanisławem Augustem? Wtedy przyjaźń polsko-rosyjska była wszak w cenie.

Zupełnie nie wiedziano co zrobić z Poniatowskim. Za to z epoką zrobiono to, co w dwudziestoleciu – wyczyszczono z osoby monarchy.

Czasem kultura polska zachowuje ciągłość w najbardziej nieoczekiwanych aspektach.

Jeden z wielu polskich paradoksów. Wracając do epoki stanisławowskiej, należy pamiętać, że lata 40. i 50. ubiegłego wieku to czas budowania mitu ludowego powstania 1794 roku z Janem Kilińskim jako jednym z głównych bohaterów. Ukazywała się masa książek historycznych, odbywały się szkolne akademie, a sam Naczelnik zaczął w pewnym momencie spoglądać z banknotów... Z czasem przywracano pamięć o panowaniu Poniatowskiego, do czego walnie przyczynili się Aleksander Gieysztor, dyrektor odbudowywanego Zamku Królewskiego – najważniejszego „brakującego” artefaktu doby stanisławowskiej – oraz Marek Kwiatkowski, najpierw kustosz w Łazienkach Królewskich, a potem ich dyrektor. Istotną rolę odgrywała także dyskusja o przeniesieniu rzekomych zwłok Stanisława Augusta z Wołczyzna. Cała Polska wtedy się zastanawiała, gdzie pochować króla: w Łazienkach, czy na Zamku? Kontrowersje wzbudzała także kwestia autentyczności owych szczątków. W pewnym sensie czasy Stanisława Augusta stały się najważniejszą epoką w polskiej historii, a sam władca wrócił jako wyrazista postać. *Notabene* za każdym razem, gdy następowało jakieś odprężenie w relacjach polsko-rosyjskich pojawiało się zapotrzebowanie na tego typu postaci. Doskonały pomost: gdy tylko zachodziła taka potrzeba można było zrobić wystawę, np. w kościele Świętej Katarzyny Aleksandryjskiej w Sankt Petersburgu, gdzie przez dłuższy czas spoczywały jego szczątki, czy we współpracy między Łazienkami a Ermitażem, pokazującą Stanisława Augusta i Katarzynę II jako mecenasów sztuki. Czego się nie robi dla mniemanego dobra państwa?

I dlatego w „epoce przełomu” król przestał być potrzebny. Ale zaczęto się mu przyglądać z innych punktów widzenia, jak czynił to Józef Hen w *Moim przyjacielu królu*.

Przed nim był Stanisław Cat Mackiewicz, którego pisarstwo odkrywano w latach 90. Rehabilitowali oni nie tylko epokę, ale i samego monarchę jako polityka. Przypominali o jego realizmie, o tym, że mimo rozlicznych słabości nie tylko utrzymał istnienie Rzeczypospolitej przez trzy dekady i to w skrajnie niesprzyjających warunkach, ale umożliwił jej rozwój. Z tego sposobu myślenia wyrosło pisarstwo Hena, twórcy mocno idącego pod prąd obowiązującym modom intelektualnym. Był to bodaj pierwszy autor, który pokazał Poniatowskiego zarazem jako mecenasa sztuki, zręcznego polityka, jak i wielkiego oświeceniowego monarchę, który miał nie mniejsze osiągnięcia niż Fryderyk II czy Józef II. Niemniej dyskusja o *Moim przyjacielu królu* nie trwała długo i nie wyszła poza krąg warszawskich inteligentów.

**Czeka nas kolejny renesans zainteresowania dołą
stanisławowską?**

Oby tylko taki jak z Hena! [Śmiech] Żarty na bok. Za każdym razem, gdy przechadzamy się po Łazienkach albo zwiedzamy Zamek Królewski powinniśmy pamiętać, jak nieprzewidywalna oraz niełaskawa bywa historia, nawet dla najzręczniejszych polityków, i jak istotną rolę odgrywa mozolne budowanie instytucji, także tych kulturalnych.

z dr. Łukaszem Jasiną rozmawiał Michał Strachowski

Ilustracja: Jan Czesław Moniuszko, *Król Stanisław August Poniatowski w Petersburgu*, 1883.

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[515]: „Bacciarelli. Rzeczypospolitej malowanie”**